

LIRA
WYDAWNICTWO

KLAUDIA
DUSZYŃSKA

*Szczęście
pod
choinkę*

Te święta będą dla Iny wyjątkowe...

Czy Gwiazdka odmieni jej los?

*Szczęście
pod
choinkę*

KLAUDIA
DUSZYŃSKA

*Szczęście
pod
choinkę*

L i R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-82-1

PROLOG

Powiedziałam mu wtedy: „Chodźmy na spacer” i on wiedział. Przytaknął niemal niezauważalnym skinieniem głowy i spojrzał na mnie z uwagą. On wiedział, o co mi chodzi i co chcę mu powiedzieć.

Bywały okresy, że niemal nie mieliśmy ze sobą kontaktu, ale za każdym razem on wracał. Tego nie dało się nijak przewidzieć, choć po tych kilku latach nauczyłam się, że jesień to jego pora, a późną zimą nie było co liczyć nawet na krótką rozmowę. Dało się z tym żyć.

Nie oczekiwałam wiele, ale nie zawsze tak było. To też swego rodzaju wyuczone zachowanie, które miało pozwolić mi przetrwać. Nie spalałam się już. Dla nikogo. Ale iskra pojawiająca się w jego czarnych oczach mimo wszystko czasem potrafiła rozniecić ogień. Nie był to jednak ogień, który trawił pożarem, a raczej taki, który stawał się czymś, co można by nazwać — upierając się bardzo — ogniskiem domowym. Lubiłam wtedy być kocia i dbać o to, by było bezpiecznie i miło. I on wracał, i jakoś to wszystko się kręciło.

Tak jak wtedy, gdy poszliśmy na spacer.

Widzieliśmy się tamtego dnia ostatni raz. Wracając, kupiłam jeszcze kilka książek w antykwariacie przy Wiśniowej, mimo że musiałam nadłożyć drogi do domu. Wiedziałam, że tu, gdzie jestem teraz, przyda mi się kilka pozycji, o które może być trudno. Nie zjedliśmy kolacji, nie było żadnego pożegnialnego piwa. Ba! Przecież żadnego pożegnania nie było! Rozstaliśmy się jak zwykle i każde poszło w swoją stronę. I jeśli mam być szczerą, a po to chcę opowiedzieć tę historię, nawet nie powiedziałam mu, dokąd wyjeżdżam. Wiem, że mnie rozumiał.

ROZDZIAŁ I

Pani Maria przyniosła mi świeżo zaparzoną zieloną herbatę. Mimo moich wielokrotnych tłumaczeń wciąż miała poczucie, że przeszkadza mi w pracy. A przecież to tylko wprawka, jeszcze nic wielkiego, jeszcze nie na poważnie.

Jestem tłumaczką, ale to moje pierwsze beletrystyczne zlecenie. Na próbę i — co tu dużo mówić — po znajomości. Dotychczas jako doktorantka miałam zajęcia ze studentami, czysta teoria. Teraz, gdy pożegnałam się z uczelnią, grzebiąc tym samym marzenia mojego ojca o karierze naukowej jego jedynej córki, mogłam spróbować tego, czego sama chciałam, wybierając dwanaście lat temu kierunek studiów.

Książeczka była dość obszerna, ale język prosty, przesiąknięty miłością i pożądaniem. Dużo się teraz takich wydaje. Sama nie przepadam, ale darowanemu koniu — jak mawia pan Mietek, mąż pani Marii — nie zagląda się w zęby. Tłumaczenie nie zajmowało mi wiele czasu, termin oddania tekstu był odległy, dlatego też zdecydowałam się na ten wyjazd. I na opowiedzenie historii, która już od

dawna dobijała się raz ciszej, raz głośniej do mojej świadomości i domagała się uwagi.

Siedziałam w przestronnym pokoju na poddaszu domu, który wynajęłam w zupełnie przypadkowej agroturystyce znalezionej pewnego deszczowego wieczoru w popularnej aplikacji. Pod oknem miałam duże, stare, drewniane biurko. Stała na nim — jako eksponat i atrakcja turystyczna — pe-relewowska maszyna do pisania. Za zgodą Marii przeniosłam ją do innego pokoju. Był koniec listopada, więc poza mną nie było już gości. Pod ścianą miejsce zajmował regał pełen książek — trochę klasyki, kryminały Chandlera i całe mnóstwo publikacji z zakresu zootechniki i hodowli koni. Gdy z wilgotnymi od łez oczyma zarezerwowałam ten pokój na pełny miesiąc, nie wiedziałam, że będą tu też konie — zupełnie mi obce i straszne zwierzęta. Powoli zaczęłam je oswajać, wciąż pozostając pod wrażeniem, jakie na mnie zrobiły pierwszego dnia. Okno wychodziło na rozległe pastwisko, wobec tego konie towarzyszyły mi niemal bez przerwy. Lubiłam je podglądać i czułam, że one wiedziały o tym i mi na to pozwalały. Bawiły się pod moim nosem, brykały i galopowały, a ja odkrywałam stadne układy, przyjaźnie i konflikty. Podobało mi się to.

Pod ścianą miałam wielkie łóżce małżeńskie, w którym można się było zgubić. Na szczęście wolną przestrzeń wypełniał mi Kot Czarny, który skradał się wieczorem po kolacji i ukradkiem wchodził za mną do pokoju. Co dzień nad ranem budził mnie delikatnym szturchnięciem czarnej łapy, prosząc, bym uchyliła drzwi, co robiłam, po czym wracałam pod ciepłą kołdrę i spałam jeszcze kilka godzin.

Lubiłam tam być, choć znalazłam to miejsce przypadkiem. Tuż po tym, gdy z kolei mnie znalazła moja matka. Ale zacznijmy od początku.

ROZDZIAŁ II

Nazywam się Józefina, wszyscy wołają mnie Ina. To moja matka obdarzyła mnie tym oryginalnym imieniem, tuż przed tym, gdy wyparowała jak kamfora. Miała romantyczną duszę i chyba potrzebowała zapewnienia, że sama jest niezwykła. Miałam być jej gwarancją niepowtarzalności, odwagi i ekstrawagancji, na którą nie wszystkich było stać. A z pewnością nie stać było — w jej mniemaniu — jej koleżaneczek, wśród których to moja matka, zwykła Kasia, czuła się lepsza, mająca poczucie smaku, znająca maniery, sławiąca dobro i piękno. Sprawiała wrażenie wyniosłej, bo niesprawiedliwy los nie docenił jej potencjału i rzucił na prowincję. Gdy wyszła za mąż, bynajmniej nie z miłości, co miało okazać się później, wraz z ojcem dostali służbowe mieszkanie, a ojciec otrzymał jeszcze mały gabinecik w centrum miasteczka, by leczyć zęby jego mieszkańców.

Moje pierwsze wspomnienie to duży, czarny krążek, który z powagą podaję ojcu, a on wkłada go do urzędu, z którego po chwili płyną dźwięki muzyki. Musiałam mieć wtedy kilka lat, na pewno jeszcze nie chodziłam do szkoły. Tak wyglądała

większość naszych wieczorów w tamtym okresie. Mogłam wybrać odpowiedni winyl — oczywiście kluczowa była dla mnie wtedy okładka — którego później słuchaliśmy, a tata czytał mi książki. Zdarzało się jednak, że zasypiał w pół zdania, dlatego szybko nauczyłam się czytać, by nie musieć przerywać lektury wraz z cichym pochrapywaniem ojca. I książki właściwie wypełniały mój świat. Nie miałam koleżanek z podwórka, bo tatko nie lubił tam siedzieć, a samej nie było mi wolno. Do przedszkola chodziłam nieregularnie, odkąd dziewczynka imieniem Jadwiga powiedziała mi z emfazą, że nie umiem rysować. Wolałam chodzić z ojcem do gabinetu, gdzie pani Zosia — drobna, zawsze uśmiechnięta pielęgniarka — robiła mi pomidorową zupkę instant, do której dosypywała śmietankę w proszku, której zwykle używało się do zabielenia kawy. Cremona — tak się chyba nazywała. Do dziś pamiętam ten smak i w mojej świadomości stanowi on ideał zupy pomidorowej. Teraz, gdy sama gotuję, dążę do tego, by moja tradycyjna pomidorówka miała właśnie tamten bezpieczny smak zupki Amino.

Nasze mieszkanie, które znajdowało się przy rynku w miasteczku, które rynku właściwie nie miało, było nieduże, więc rodzice zagospodarowali w nim

każdy kąt. W salonie stały meblościanka na wysoki połysk, stół i rattanowe krzesła. Kanapa, na której spali rodzice, a potem ojciec sam, dwa fotele i regały na książki pod sam sufit. Pamiętam, że gdy byłem mała, lubiłam zadzierać głowę i podziwiać szczyty. Na samej górze leżały równo ułożone czasopisma i małe książeczki, które dopiero po latach sklasyfikowałam jako mamine harlequiny. Gdy byłem nastolatką, ze śmiechem przeczytałam kilka, co przypomniało mi się przy okazji mojego „erotycznego” tłumaczenia.

Mamę pamiętam bardzo słabo, choć wiem, że na początku jeszcze mnie odwiedzała, jeszcze słała słodkie paczki i kolorowe pocztówki. W mieszkanku przy rynku kojarzę ją najbardziej z jej niebycia. Z tego, że ciągle była w pracy albo z koleżankami; że oglądała wieczorami *Jednego z dziesięciu*, mrucząc do mnie, próbującej się przebić między odpowiedzi uczestników, „cicho, cicho”; albo sprzątała, psiocząc pod nosem na ojca i mnie. Gdy była w mieszkanku, zawsze, jestem tego pewna, żałowała, że nie jest gdzie indziej. Chyba miała poczucie, że coś ją omija. Tata powiedział mi później, że on też to czuł, chociaż mama nie zawsze taka była. I choć tego już mi nie powiedział, wiem, że to zaczęło się po moim przyjsciu na świat.

Miałam trzy lata, kiedy zostałam sama z tatą i dziadkami, którzy mieszkali ni to blisko, ni daleko i od czasu do czasu zajmowali się mną. Nie rozumiałam tego, ale już wtedy czułam — a dziś to wiem — że patrzą na mnie z poczuciem zażenowania. Wszak to ich rodzona córka wywinęła numer, jak mówiło się na mieście, i teraz oni musieli z tym żyć.

Nie lubiłam bawić się z innymi dziećmi. Właściwie nie wiem, czy nie lubiłam. Raczej zwyczajnie nie miałam ku temu zbyt wielu okazji, było mi to więc niemal całkiem obce. Miałam dwie podwórkowe koleżanki, z którymi dopiero po kilku latach połączyło mnie coś na kształt przyjaźni. Zwykle jednak spędzałam czas sama ze sobą i bawiłam się pluszowymi lub plastikowymi zabawkami, opowiadając niekończące się historie. W tamtym okresie miałam całe zoo plastikowych zwierząt, z których największą miłością darzyłam antylopę i coś na kształt pumy. W jednej i drugiej podobała mi się gracja, z jaką stawiały kroki — pierwsza dostojnie, chudymi pęcinkami, druga posuwicie, na przykurczonych łapach. Chciałam być do nich podobna, mieć piękno antylopy i coś z tajemniczy majestatycznej kocicy. Najbardziej jednak chciałam wtedy być niewidzialna.

Nie lubiłam ludzi i — co tu ukrywać — do dziś nie lubię. W szkole moje klasowe koleżanki myślały, że jestem dziwna, ale tak naprawdę to one bez wyjątku były zdrowo popieprzone. Nigdy nie miałam ochoty z nimi gadać, co one brały za przejaw mojej głupoty, bo jak to tak? Same miss turnusu. Nie było z nimi jednak o czym rozmawiać. Żadna nie podzielała moich zainteresowań, a wszelkie ploteczki o lokalnych babach i dziadach mnie zwyczajnie nie interesowały. Trzymałam się więc z boku i bacznie obserwowałam. Już wtedy moje myśli układały się w narrację, choć z wypracowań chyba nigdy nie dostałam piątki. Cóż, nie miałam odwagi, by opisywać to, co naprawdę działo się we mnie. Dla uczennicy podstawówki mogłoby to być zbyt intymne doświadczenie.

Kiedyś napisałam coś, czym, ku własnemu zaskoczeniu, cichej i raczej pełnej kompleksów dwunastolatki, zapraǳęłam podzielić się z klasą. Głos uwiąǳł mi w gardle. Chciałam, uwierzcie mi, bardzo chciałam przeczytać opowiadanie. Dziś już nie mam zielonego pojęcia, o czym było, ale było ważne i piękne. Nauczycielka natomiast, zamiast jakkolwiek zachęcić mnie do odwagi, podsumowała moje ciche chrząknięcia słowami: „Ośle, osłe, sam pisałeś, a przeczytać nie umiałeś”. Może dlatego

nie zostałam pisarką, a tłumaczką? Teraz mogę się ukrywać za innymi, silnymi oraz niezależnymi kobietami i mężczyznami.

Mniej więcej w tym samym okresie między mną a dziewczętami z podwórka zawiązało się coś na kształt przyjaźni. Gocha była moją rówieśnicą, a Aga jej młodszą o dwa lata siostrą. Dziewczyny były śmieszne i początkowo traktowałam naszą znajomość jako eksperyment badawczy. Ich ojciec był kierowcą ciężarówki i jeździł po całej Polsce, a czasem nawet i dalej, matka z kolei, znacznie młodsza od mojej, to oceniłam bezbłędnie, siedziała w domu i wciąż robiła przeróżne kursy korespondencyjne. Mieszkała z nimi jeszcze babcia — wysoka i szczupła — która robiła najlepszy na świecie makaron z cukrem i ze śmietaną, ale wtedy tego jeszcze nie wiedziałam.

Zaczęło się od tego, że podglądałam dziewczyny przez kuchenne okno. Bawiły się na podwórku i słyszałam ich wesołe głosy. Było lato, na okazałej czereśni pyszniły się już bladoróżowe owoce. Byłam ich, tych dziewczyn, tak strasznie ciekawa, że nie mogłam już wytrzymać za szybą. Ojciec jak zwykle był w gabinecie do późna, a mnie od panującego upału nie chciało się już czytać. Nudziłam się i one, te wesołe dziewczuchy, były moją przepustką do

wolności. Otworzyłam okno i ostrożnie zsunęłam się na daszek przybudówki. Stąd miałam o wiele lepszy widok. Zocha i Aga grały w gumę przyczepioną z jednej strony do trzepaka. Kłóciły się o to, że tej starszej za dobrze idzie, czas już na skuchę.

— Hej, ty! — Usłyszałam nagle i poczułam na sobie gniewny wzrok lekko pyzatej blondynki. — Złaż tu, brakuje nam trzeciej do gry. Z tym słupem nie idzie.

Byłam pewna, że na końcu miało być jeszcze jakiś siarczyste przekleństwo, ale najwyraźniej Aga uznała, że nie pasuje ono ani do jej jasnoblękitnej sukienki za kolano, ani do sytuacji. Przykucając, zbliżyłam się do krawędzi daszka i — chociaż bałam się bardzo — zeskoczyłam. Zdarłam kolana, ale byłam cała. To miał być początek mojej trwającej do połowy liceum łobuzerskiej przygody.

*

Zrobiło się zimno, więc owinęłam się grubym kocem. Teraz już trudno takie dostać. Był ciężki i gęsto tkany. Koniec listopada był kapryśny, a ja bardzo silnie reagowałam na wszelkie zmiany pogody. Po słońcu, które jeszcze wczoraj muskało moją twarz, gdy na tarasie piłam herbatę, nie było już ani śladu.

Zapach siana i butwiejących liści przywodził na myśl niedające się określić wspomnienia czegoś nieuchwytnego, ale dobrego. Czegoś dobrze znanego, ale co bezpowrotnie minęło. Zbliżała się zima i dzisiejszy śnieg z deszczem utwierdził wszystkich w przekonaniu, że zmienność pór roku jest nieuchronna.

Nigdy nie umiałam pogodzić się z tym, że dni stają się krótkie, ciemność osnuwa świat, a wszystko, co daje radość, odchodzi. Nostalgia tych późnojesiennych dni sprawiła, że straciłam poczucie sensu mojego wyjazdu.

Tęskniłam. Za moim niemogącym doczekać się remontu mieszkaniem, za zgiełkiem miasta, które jesienią staje mi się wyjątkowo życzliwe, i za nim... Najbardziej na świecie boję się właśnie tego, że go stracę. Może dlatego to wszystko układa się w tak osobliwy i przez postronnych niedający się rozumieć sposób? Patrzą na nas i zastanawiają się, wiemy o tym oboje. Ale się nie tłumaczymy. Pozwalamy, by wszystko działało się samo i w swoim rytmie. Ufam, że wszystko będzie dobrze.

Krople spływające po oknie mojego wynajmowanego pokoju dodatkowo nastrajały mnie na gorzkie smaki. Szybko zdecydowałam, że nie mogę tak siedzieć. Miękkie dresowe spodnie zamieniłam

na dzinsy, a na T-shirt wciągnęłam grubą bluzę. Włożywszy jeszcze kalosze i kurtkę, wyszłam na zewnątrz.

Deszcz nie był intensywny, ale miarowy i jednostajny, a niebo wymazane różnymi odcieniami szarości, co nie zwiastowało rychłej poprawy. To nic. Ruszyłam drogą prowadzącą wzdłuż sadu i dalej przy pastwiskach. Na końcu wsi zaczynał się Duży Las, w którym — na to liczyłam — deszcz nie powinien być aż tak uciążliwy.

Było mi rześko i jakoś tak... inaczej, niż się spodziewałam. Zimno, które początkowo czułam, zniknęło i byłam pewna, że zaróżowiły mi się policzki. Szłam i wdychałam zapach drzew, opadłych liści, ostatnich grzybów i leśnej zgniłości pochowanej w mchu. Gdy tylko znalazłam się pod parasolem z rosłych sosen, zwolniłam kroku. Tutaj już nie padało. Westchnęłam głośno. To wszystko było takie dziwne. Ale, o dziwo, tak bardzo do mnie pasowało. Po huraganie, jaki przeszedł, ta impulsywna zmiana otoczenia wydawała się brakującym puzzlem, który teraz nadał tej osobiwej układance głębszy sens. Odkryłam, że zaczynam akceptować to, co się wydarzyło i godzić się na to, co ma nadejść. Nie zrozumiałam jeszcze mechanizmu działania tego wszystkiego, ale ufałam,

że tak właśnie jest dobrze. Już nie było we mnie buntu, który czułam jeszcze kilka dni temu, będąc w domu. Owszem, strzępki niepokoju uwierały mnie jeszcze od czasu do czasu i budziły o trzeciej nad ranem jak wbijające się w plecy ziarnko grochu, ale nic poza tym. Intuicja podpowiadała mi, że miejsce, w którym się znalazłam, pomoże mi uleczyć rany. Nie miałam jeszcze pojęcia jak, ale byłam pewna, że tak musi się stać.

*

Gdy wracałam do agroturystyki, po mojej kurtce lały się strugi wody. Przez ponurą pogodę można było odnieść wrażenie, że zmierschła, chociaż było dość wcześnie. Idąc od strony pastwisk na tyłach obiektu, zauważyłam, że w stajni pali się światło. Postanowiłam tam zajrzeć. Nie wiem, co skłoniło mnie do tego ekstrawertycznego działania. Może ten dotleniający ciało i umysł spacer, może deszcz, a może to, że w końcu poczułam, że to moje życie i dzieje się naprawdę tu i teraz. Nie ma co odkładać go na później. Ten las po horyzont zdawał się otwierać mi oczy.

Zboczyłam na wydeptaną w trawie ścieżkę prowadzącą skrótem wprost do stajni.

Znacie to uczucie, gdy czytacie książkę, która jest nudna? Może inaczej: nie jest wciągająca. Jakoś tak lektura nie posuwa się naprzód. Co wtedy robicie? Czytacie dalej z nadzieją, że coś się zmieni? Odkładacie?

Światło bijące ze stajennego okna, mały ciepły punkt w gęstej sienie szarości, było impulsem do tego, by zmienić coś w nudnej księdze mojego życia. Nie czułam się pewnie, wbijając się w nową sytuację, ale było już za późno. Zapukałam drżącą dłonią, po czym nacisnęłam siermiężną klamkę tylnych drzwi, skąd dochodził blask lampy, i weszłam do środka. Po lewej stronie znajdowały się kolejne, tym razem otwarte na oścież drzwi i to stamtąd wydobywało się światło, a teraz także wesołe głosy. To pan Mietek, jakiś młodszy od niego mężczyzna — którego szybko w myślach nazywałam Ten Od Ładnych Włosów, bo bujność jego długiej fryzury dopadła mnie, nim zobaczyłam resztę — i drugi mężczyzna, straszy, ale bardziej gburowaty oraz dwie kobiety, obie w białych bryczesach i raczej odświętnie wyszykowane, choć widać było, że zarówno ich stroje, jak i makijaże oraz starannie dobrane fryzury wiele już przeszły tego dnia. Na chwilę wszyscy zamilkli, a we mnie wpatrywały się cztery pary szczerze zaskoczonych tym niespodziewanym najściem oczu.